

Darek Foks

D-Day

Wchodzę na forum, automatycznie przelatując wzrokiem
tematy wpisów i imiona twórców nowszych wątków,

szukając przyjaciół, wrogów, wiadomości z ostatniej chwili.
Nie pojawił się żaden świeży materiał. Kanonada

skrótów. Kasuję spam. Pociągam łyk kawy. Szare światło
nabiera dziennego kolorytu. Na stole przede mną

leży biała koperta. Jest zamknięta. Jest też popielniczka,
okrągła i idealnie biała. Wzdycham. Nie jest to głębokie

westchnienie. Zapalam papierosa. Nie ma mowy
o wakacjach. Od momentu powrotu na krzesło czuję

powiew złej energii. Zadzwoiłbym teraz, ale jest
za wcześnie. Powinienem mieć więcej oleju w głowie.

Nie pamiętam, o której otwierają sklep ze starociami.
Nie otworzą sklepu ze starociami, bo dziś jest niedziela.

Otwierają się pomalowane na zielono drzwi
i wychodzi z nich kobieta w średnim wieku. Jest ubrana

w czarne dżinsy i prowadzi na smyczy dużego psa.
Po chwili dogania ją blondynka z otwartą klapiącą torbą.

Cały sekret skutecznego wyławiania nowości sprowadza się
do tego, aby dogonić je w stosownej chwili. Robić

wszystko jak trzeba, tylko zupełnie na opak. Pies się
cieszy jak rozładowywana ciężarówka. Ostrożnie siorbię

wrzący płyn. Czuję zawrót głowy wywołany nagłą solidną
dawką światła, kobietami, torbą, psem i rozdarcie duszy.

Zamieram z dłonią na myszy, wpatrzony w ostatnią linijkę.
Przypominam sobie, że jest tu pięterko, na które tym razem

nie wszedłem. Zastanawiam się, czy teraz ktoś tam jest.
Wracam myślami na dół. Zaglądam do stojących szafek

w odnowionej kuchni. I pod zlew. Telefon. Na stole
przy komputerze. Podnoszę słuchawkę i patrzę na nią,

jakby miała przemówić. Tymczasem ekran budzi się na dobre.
To wszystko strasznie dodaje otuchy. Odkładam słuchawkę.

Reduta oporu przeciwko nowobogackim przybyszom
pracuje bez wytchnienia na swoje dobre imię. Gwizd czajnika

za ścianą. Otwieram usta do krzyku, ale się opanowuję.
Biorę głęboki oddech. Skąpany w świetle przedpołudnia

patrzę na otwartą wiadomość, zastanawiając się, co takiego
uruchomiłem, dokąd mnie to zaprowadzi i dlaczego.

Wilgotny ręcznik w mojej dłoni jest już zimny. Rzucam go
na podłogę. Przedmioty wiodą swoje samotne życie.

Papieros rozżarza się jak meteoryt rozcinający atmosferę.
W końcu wypuszczam dym z płuc i pokój jest go pełen.

W łazience rozwijam mydło z opakowania i ponownie
wchodzę do wysłużonej wanny. W zimnej wodzie zimni ludzie.

6 czerwca 2010

Rozdział dla Raymonda Queneau

1.

Granaty nie były potrzebne.

Powitał nas sam dyrektor instytutu.

– Niech żyje literatura polska! – wykrzyknął.

Przez trzydzieści sześć lat był dyrektorem instytutu, a teraz poczuł, że przyszedł kres, że odejdzie bezpotomnie, że bez niego literatura polska przestanie istnieć.

– Niech żyje literatura polska! – powtórzył mocnym głosem, gdyż bardzo był przywiązany do literatury polskiej.

Z przerażeniem ujrzał, jak do jego instytutu wpada siedmiu uzbrojonych osobników, co do których natychmiast powziął podejrzenie, że chcą wykończyć literaturę polską.

– Niech żyje literatura polska! – wymamrotał po raz trzeci.

Tym razem tylko wymamrotał, gdyż tak sprawnie i gorliwie okazywał swą miłość do literatury polskiej, że niezwłocznie wpakowałem mu kulkę w głowę.

Dyrektor odszedł bezpotomnie, bez niego literatura polska przestanie istnieć.

Moi towarzysze uważali chyba, że działam za szybko, ale to nie był odpowiedni moment na dyskusje.

Doktorantki na korytarzu zawzięcie gdakały. Było ich z tuzin, doktorantek tutejszych i przyjezdnych, bardzo niezadowolonych z rozwoju wypadków.

– Wypróżnić mi ten kurnik! – ryknąłem.

Moi towarzysze poczęli zatem, gestami i słowami, zachęcać doktorantki do szybkiego zniknięcia. Ale jedne chciały przedtem zabrać swoje laptopy, inne notatniki, i w ogóle ich zachowanie cechował pewien polonistyczny popłoch.

– Co za kretynki! – wrzasnąłem z góry schodów. – Niech się wynoszą i to już!

Jeden z moich towarzyszy, chwyciwszy pierwszą z brzegu, klepnął ją w pośladek.

– Macie się zachowywać poprawnie! – dorzuciłem.

- Nie damy rady - mruknął jeden z moich towarzyszy, popchnięty przez dwie nietutejsze doktorantki, pędzące w przeciwnym kierunku po swoje laptopy.

Minęła dłuższa chwila.

- No, to teren oczyszczony - stwierdziłem po dłuższej chwili.

Żadna doktorantka nie raziła już moich oczu.

Wszedłem na pierwsze piętro.

2.

Na pierwszym piętrze ważniejsi pracownicy instytutu wiele nie dyskutowali. Natychmiast przystali na wypędzenie.

Tylko zastępca dyrektora instytutu przejawiał skłonność do oporu.

Kopniakiem wywaliłem drzwi jego gabinetu.

- Niech żyje literatura polska! - oświadczył.

Podziurawiłem go.

Moi towarzysze umieścili trupa w kącie.

Zapaliliśmy po papierosie.

3.

- Coś mi się zdaje, że nie wszystkie doktorantki przepędziliśmy - powiedziałem. - Sprawdźcie kible.

4.

Moi towarzysze powiedzieli, że kible są puste.

- Jedna doktorantka - powiedziałem. - Nie doliczyłem się jednej doktorantki.

Postanowiłem zająć się tym osobiście.

5.

Trafiłem na zamaskowany pokoik.

Wywaliłem kopniakiem drzwi.

W środku siedział dziadek.

Siedział i pisał.

- Kurwa, dziadek, co ty tu robisz? - zapytałem.

- Siedzę i piszę - powiedział spokojnie.

- O czym, kurwa, piszesz?

- O powstaniu i wieszaniu.

Siedział i pisał o powstaniu i wieszaniu.

- Wypierdalaj - powiedziałem.

Dziadek zaczął się zbierać. Zza jego biurka wyszedł kot.

- Dziadek, to twój kot? - zapytałem.

- Mój - odpowiedział.

- To wypierdalaj z kotem.

Dziadek i kot posłusznie opuścili zamaskowany pokoik.

6.

W zamaskowanym pokoiku były drugie drzwi z napisem „Ksero i drukarki”. Otworzyłem je, bo wywalanie drzwi trochę mnie już zmęczyło.

Doktorantka siedziała przy laptopie.

Była małą brunetką, umiarkowanie figlarną, raczej dobrze zbudowaną i zgrabną.

Podszedłem do drukarki, bo właśnie coś drukowała.

Doktorantka nie miała ochoty na szarpaninę, więc z przyzwyczajenia rzuciłem okiem na wydrukowany tekst:

„Granaty nie były potrzebne.

Powitał nas sam dyrektor instytutu.

– Niech żyje literatura polska! – wykrzyknął.

Przez trzydzieści sześć lat był dyrektorem instytutu, a teraz poczuł, że przyszedł kres, że odejdzie bezpotomnie, że bez niego literatura polska przestanie istnieć.

– Niech żyje literatura polska! – powtórzył mocnym głosem, gdyż bardzo był przywiązany do literatury polskiej.

Z przerażeniem ujrzał, jak do jego instytutu wpada siedmiu uzbrojonych osobników, co do których natychmiast powziął podejrzenie, że chcą wykończyć literaturę polską.

– Niech żyje literatura polska! – wymamrotał po raz trzeci.

Tym razem tylko wymamrotał, gdyż tak sprawnie i gorliwie okazywał swą miłość do literatury polskiej, że niezwłocznie wpakowałem mu kulkę w głowę.

Dyrektor odszedł bezpotomnie, bez niego literatura polska przestanie istnieć.

Moi towarzysze uważali chyba, że działam za szybko, ale to nie był odpowiedni moment na dyskusje.

Doktorantki na korytarzu zawzięcie gdały. Było ich z tuzin, doktorantek tutejszych i przyjezdnych, bardzo niezadowolonych z rozwoju wypadków.

– Wypróżnić mi ten kurnik! – ryknąłem.

Moi towarzysze poczęli zatem, gestami i słowami, zachęcać doktorantki do szybkiego zniknięcia. Ale jedne chciały przedtem zabrać swoje laptopy, inne notatniki, i w ogóle ich zachowanie cechował pewien polonistyczny popłoch.

– Co za kretynki! – wrzasnąłem z góry schodów. – Niech się wynoszą i to już!

Jeden z moich towarzyszy, chwyciwszy pierwszą z brzegu, klepnął ją w pośladek.

– Macie się zachowywać poprawnie! – dorzuciłem.

- Nie damy rady - mruknął jeden z moich towarzyszy, popchnięty przez dwie nietutejsze doktorantki, pędzące w przeciwnym kierunku po swoje laptopy.

Minęła dłuższa chwila.

- No, to teren oczyszczony - stwierdziłem po dłuższej chwili.

Żadna doktorantka nie raziła już moich oczu.

Wszedłem na pierwsze piętro”.

- Ty to napisałaś? - zapytałem.

- Ja - odpowiedziała.

7.

- Przegonić ją? - zapytał jeden z moich towarzyszy, który pojawił się w drzwiach.

- Nie - opowiedziałem. - To jest moja doktorantka.

Powieść „Kebab Meister” ukaze się nakładem Korporacji „Ha!art”.

Tęcza samoprzylepna

1.

Są takie dni, kiedy tęcza nie chce zniknąć, mimo że już wszyscy ją widzieli.

Właśnie taki dzień wybrałam sobie na wizytę u pewnej damy, która z przodu była jak z tyłu. Bez zarzutu.

Z jej twarzą był jednak pewien problem, bo miała upodobanie do kapeluszy, co dla człowieka z moim wykształceniem i przeszłością było trudne do zniesienia.

Przeszłość lubi zarabiać na naszych frustracjach i fobiach.

Wykształcenie zarabia w sposób zgoła odmienny. W tej chwili mam ważniejsze sprawy na głowie, więc wyjaśnię rzecz przy innej okazji.

Powiedziałam „na głowie”?

Nieprawdopodobne.

Teraz zajmę się damą skrywającą twarz po rondem wielkiego kapelusza.

2.

Minąłem paru wyrostków z pobliskiej podstawówki, wpatrujących się złowrogo w nieugiętą tęczę, i dotarłem pod furtkę przed domem damy w kapeluszu.

Kiedy mi otworzyła, zajrzałem pod kapelusz, upewniając się, że to ta.

Na wszelki wypadek powiedziała, że ona to ona.

Uparałem się z wielkopańską bramą, wielkopańskimi schodami i wielkopańskim fotelem.

Dama przyglądała mi się z szelmowską ciekawością.

3.

Pies damy nie zwracał na mnie uwagi, bo przyglądał się tęczy za oknem.

Dama milczała.

Powiedziałem, że ma niezłego ogrodnika, chociaż lepiej by było, gdybym powiedział, że przysłał mnie jubiler ze śródmieścia i że mam dla niej cenny podarunek.

Pies nawet nie drgnął, chociaż wiedziałem, że ogrodnik jest jego wrogiem.

Dama pokazała na migi, że ogrodnik rzeczywiście jest w porządku, ale nie wyglądała na całkowicie przekonaną.

Pomyślałem, że jest rozpieszczona, a przez to źle wychowana.

Powiedziała, że pewnie myślę, że jest rozpieszczona, a przez to źle wychowana.

Powiedziałem, że myślę o tęczy.

Pies zeskoczył z parapetu.

4.

Ogrodnik damy stał za domem jak tuja i przyglądał się tęczy.

Zza żywopłotu dobiegał szkolny zgiełk.

Pies wyszedł z salonu.

Dama powiedziała, że też myśli o tęczy, ale bez przekonania. I zapytała, po co właściwie do niej przyszedłem.

Bałem się tego pytania. Jednak po wyjściu psa odwaga zaczęła wracać.

Nabrałem powietrza i powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

Chwilę potem ogrodnik odpalił kosiarkę, ale nie zagłuszyło to sensu mojej prośby.

5.

Następnego dnia rano tęcza była na swoim miejscu.

Pies damy siedział na parapecie.

Na dole.

Mówię tak na wycucie, bo znajdowałam się wtedy w zaciemnionej sypialni damy.

Na górze.

Usłyszałem, jak dama otwiera szufladę i czegoś w niej szuka. Następnie rozległ się szelest zapałki pocieranej o brzeg pudełka, krótki trzask i w ciemności zaśnił płomyk. Przyłożony do knota świecy, oświetlił otoczenie na tyle, że dostrzegłem spokojną twarz damy mrugającej powiekami od nagłego blasku. Miała na sobie flanelową koszulę w kratę należącą niegdyś do mężczyzny znacznie większego od niej; miałem nadzieję, że nie był to ogrodnik. Spomiedzy fałdów koszuli wynurzały się smukłe uda. Kiedy pochyliła się, żeby wypłatać mnie z prześcieradła, zobaczyłem, że pod koszulą ma białe majtki, niezbyt grube, pozwalające dostrzec ciemny i sprężysty trójkąt, a z tyłu fragmenty pośladków ściśniętych jak pięść stoczniowca podczas sierpniowego strajku. Nie wszystkie guziki koszuli były zapięte, a tam, gdzie się rozchylała, prześwitywała jasna skóra, ładniejsza od tęczy.

Powiedziała, że krzyczałem przez sen.

Powiedziałem, że za dużo wypłem wieczorem.

Powiedziała, że ogrodnik przyniósł mnie tutaj po północy.
A więc to jego koszula.
I jego kosiarka, dodałem, bo usłyszałem kosiarkę.

6.

Zastanawiałem się na głos, jak odkleić tęczę.
Z jej przylepieniem nie było żadnego problemu.
Tyle że wtedy głowa mnie tak nie bolała.

7.

Dama powiedziała, żebym zostawił tęczę w spokoju, a po śniadaniu wyjechał z miasta.

Wręczyła mi wizytówkę pewnej damy z sąsiedniej miejscowości i zapytała, czy zjem jajecznicę.

Zjadłem jajecznicę.

8.

Mimo kolejnych błędów gramatycznych, spowodowanych zapewne moim przepiciem, sens naszego pożegnania wydał nam się jednoznaczny.

Dama uniosła dłoń i lekko nią pomachała.

Kosiarka żegnała mnie trochę energiczniej.

Pies milczał, siedząc w pozycji pożegnalnej.

9.

Kiedy wyszedłem na ulicę, kosiarka zamilkła, a pies w końcu zaczął szczekać.

Są takie dni, kiedy tęcza nie chce zniknąć, mimo że już wszyscy ją widzieli.